

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
O sprawiedliwym carze i pazernych bojarach
- 15 Malwina Dziedzic
Dokąd żeglujecie opozycja?

Polityka

- 18 Ewa Siedlecka
Prokuratorzy bez obrony
- 21 Rozmowa z **Rafałem Matyją**, politologiem, o podzielonym społeczeństwie i błędach rządzących i opozycji
- 24 Sławomir Sierakowski
Słaba polska soft power

Społeczeństwo

- 26 Agata Szczerbiak
Projekt Rodzina Wielodzietna
- 29 Juliusz Ćwieluch
Więzienia: władza zamyka, żeby otwierać
- 32 Edyta Gietka
Codzienne skutki ustawy dezubekizacyjnej
- 35 O tym, czym się różni praca lekarza w Polsce i Szwecji, opowiada pediatra dr **Piotr Czekurła**n
- 38 Paweł Walewski
Jak się żyje z nową twarzą

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Realnie o polskiej motoryzacji

Świat

- 48 Ziemowit Szczerek **EUROPA Wschód odkleja się od Zachodu**
- 51 Artur Domosławski **USA Wojna o broń**
- 54 Maciej Okraszewski **RPA Teraz Ramaphosa**

Historia

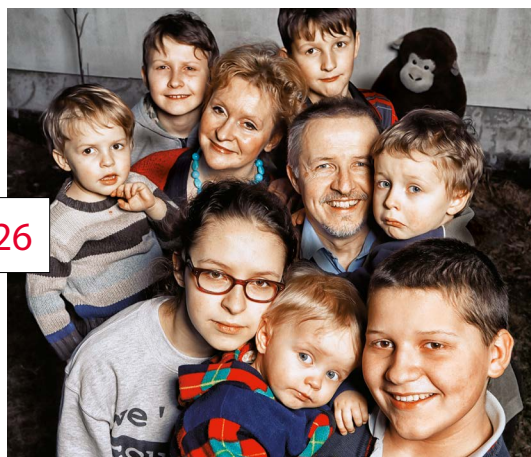
- 56 Grzegorz Mathea
Irlandia Północna: trudne Porozumienie Wielkopiątkowe
- 59 Zbigniew Gluza
„Spowiedź” Perechodnika – kontrowersyjne świadectwo Holokaustu

15



Co ma opozycja na władzę

26



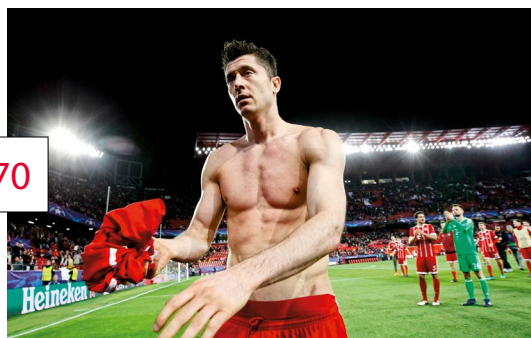
Wielka Polska Wielodzietna

48



Nieprzystające Europy

70



Prawa Lewego

Nauka

- 62 Wojciech Mikołuszko
Supeł z susłem
- 66 Rozmowa z prof. **Marcinem Pałysem**, rektorem Uniwersytetu Warszawskiego, o reformie nauki
- 68 Paweł Walewski
Stwórzmy rzetelne rejestry raka!

Ludzie i style

- 70 Marcin Piątek
Nienasycony Lewandowski
- 73 Paweł Walewski
Uliczne zombie ze smartfonem

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński
Wiedeńskich artystów portret poczwórny
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 84 Justyna Sobolewska
Nowa biografia Herberta
- 87 Aneta Kyzioł
Teatr wraca do antyku
- 90 Michał R. Wiśniewski
Fenomen japońskich light novels

Za stołem

- 92 Barbara Adamczewska
Kuchnia „nuta po nucie”

Na własne oczy

- 100 Tekst i fotografie Ilona Wiśniewska
Utracona tożsamość grenlandzkiego Nuuk

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 94 Passent
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji • 99 Fusty
- 106 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Jak Polska kręci światem

W mediach pojawiają się różne nienaukowe teorie na temat Polski. Rozgłasza się np., że świat nie kręci się wokół Polski, chociaż wystarczy włączyć TVP albo posłuchać polityków PiS, żeby się zorientować, że jednak się kręci, a to, że się nie kręci, jest zwykłym złudzeniem wynikającym z przyjęcia niewłaściwej antypolskiej optyki.

Teoria, zgodnie z którą świat nie kręci się wokół Polski, została już dwa lata temu obalona przez prezesa Kaczyńskiego, który wstrzymał Polskę i poruszył tym świat. Powodem był prawdopodobnie brak sympatii, zrozumienia i zaufania prezesa do świata. Ale – jak wiadomo – świat prezesowi też nie ufa i nie darzy go sympatią, dlatego nie dziwię się, że prezes uznał, że Polska nie po to dała światu i doznała od niego tak wielu krzywd, żeby teraz musieć się jeszcze wokół niego kręcić.

Np. Polska dała światu Polaków, którzy są wyjątkowi i przez to słynni w świecie. Polak był zarówno papieżem Janem Pawłem II, jak i pierwszym polskim kosmonautą Mirosławem Hermaszewskim czy pierwszym w świecie olimpijczykiem, który zjechał na sankach, nic nie widząc, bo zapomniał gogli. Polak z Warszawy jest dziś naszym piłkarzem Lewandowskim, o którego zabiegają najsłynniejsze kluby świata. A skromny



Polak z Żeba na Podhalu – Kamilem Stochem, który pokazuje światu, że jak Polak chce, to skoczy tak daleko, że inni mogą mu skoczyć. Z drugiej strony wielu tych, którzy Polsce szkodzili i za których Polska musi się dziś wstydzić, jak się okazuje wcale nie było Polakami, tylko Żydami, komunistami albo jednymi i drugimi jednocześnie.

Polska dała światu przełomowe wynalazki, takie jak sędzia dubler, podkomisja smoleńska, nowelizacja ustawy o IPN czy uzdrawiające ampułki z krwią Jana Pawła II. Głośnymi w świecie polskimi wynalazkami są: sędzia Przyłębska, sędzia Muszyński i kierowany przez nich Trybunał Konstytucyjny.

Polacy wymyślili wiele ciekawych rzeczy, a mogli wymyślić więcej. Niektórzy Polacy są przekonani, że gdyby Edison nie wymyślił żarówki i wałków Edisona, mógłby je wymyślić Polak. A jeśli wielu Polaków niczego sensownego nie wymyśliło, to dlatego, że musiało w przeszłości opierać się germanizacji i rusyfikacji, a dziś musi się opierać europeizacji i najazdowi uchodźców.

Na koniec warto przypomnieć, że Polska dała także światu Jerzego Roberta Nowaka i jego dwutomowe dzieło „Co Polska dała światu”, będące obszernym podsumowaniem tego wszystkiego, co świat od Polski dostał. Po tej lekturze czytelnikom musi się nasunąć patriotyczna refleksja, że za to wszystko Polska ma prawo domagać się od świata nie tylko wdzięczności, ale także jakichś reparacji.

**NAJ
LEPSZA
OFERTA**
na rynku

**DLA FACHOWCÓW
i nie tylko**

Oferta ważna od 03.04 do 06.05.2018 r.



594,-

OFERTA SPECJALNA

Wiertarko-wkrętarka
z udarem METABO

Napięcie akumulatora: 18 V, Li-Ion, 2,0 Ah.
Moment dokręcania: 48 Nm.
kod 45876355



+
za 1 gr

25,98/opak.

OFERTA SPECJALNA

Gładz szpachlowa biała GIPSAR UNI 20 kg
kod 44046765 Cena za 1 kg, 1,30 zł.
Przy zakupie 2 opakowań
otrzymasz GIPSAR UNI
10 kg za 1 gr. kod 45613414



169,-/szt.

Przewód YDYP biały
Dł.: 100 m.
kod 42916951



~~14,40~~ **-10%**

12,94/m²

PROMOCJA

Wetna URSA HOME
Lambda: 0,037. Gr.: 150 mm.
Opak.: 4,56 m²
kod 45428005
Cena za opak.: 59 zł.

**Z nami wybudujesz dom lub wyremontujesz mieszkanie.
Sprawdź naszą ofertę w sklepach i na www.leroymerlin.pl**

**NAJ
LEPSZA
OFERTA**
na rynku



WYBÓR PONAD 100 TYSIĘCY PRODUKTÓW
z czego kilkanaście tysięcy dostępnych
jest tylko w sklepach Leroy Merlin



NAJLEPSZE CENY
zwracamy podwójną różnicę w cenie w przypadku
znalezienia identycznego produktu tańszego,
niż zakupiony w Leroy Merlin*



PROGRAM LOJALNOŚCIOWY
przynajmniej dodatkowe upusty i bonusy
w trakcie realizacji zakupów*



SZEREG PROMOCJI
w każdym miesiącu organizujemy
specjalne akcje promocyjne



REALIZACJA KOMPLEKSOWYCH USŁUG
organizujemy montaż towarów
zakupionych w Leroy Merlin



BEZPIECZNE ZAKUPY
zapewniamy bezterminowy
zwrot towarów**

**Podlegający zwrotowi towar musi być pełnowartościowy, bez śladów użytkowania, niezniszczony, w oryginalnym opakowaniu oraz nadający się do ponownej sprzedaży. W przypadku produktów posiadających termin ważności - ich zwrot nie może nastąpić w okresie 30 dni przed upływem terminu ważności.

LEROY MERLIN

Skromność wprowadzić



Jerzy Baczyński

Od kilku dni trwa, i jeszcze potrwa, operacja odwracania kota ogonem. Odwracanie zaczął osobiście prezes Jarosław Kaczyński. Kilka dni po tym, jak wezwał Beatę Szydło do pokazania pazurków (ach, te kocie skojarzenia) w obronie nagród dla członków rządu, teraz – pod presją tabloidów i spadających sondaży – zarządził odwrót, czyli „wprowadzenie skromności”. Jest to oczywiście próba zamknięcia szaleni niewygodnego dla władzy tematu i odzyskania inicjatywy narracyjnej, według starej zasady marketingu politycznego: jeśli przegrywasz, zmień grę i boisko. Już nie ma więc mowy o zasadach przyznawania nagród, tylko o wysokości pensji, i to nie ministrów, ale posłów i senatorów (również opozycyjnych) oraz Bogu ducha winnych samorządowców, w ogromnej większości niezwiązanych z obecnym układem władzy. Pułapka zastawiona na opozycję jest widoczna z daleka: działacze PiS, pod groźbą utraty pracy lub miejsca na listach wyborczych, przeciwko obniżkom oficjalnie protestować nie będą, jeśli jednak politycy opozycji zaczną marudzić i krytykować – wtedy przegrali. Państwowa propaganda oskarży ich o pazerność i hipokryzję – emocje powinny się odwrócić i wizerunkowo będzie przynajmniej 1:1. A może nawet 2:1, jeśli dyskusję o apanażach władzy uda się przemieścić i utrzymać na terytorium samorządowym, co już dziś, u progu kampanii wyborczej, ustawiłoby kandydatów PiS w wygodnej roli „wprowadzających skromność”.

Ustawowe ograniczenie zarobków ministrów i parlamentarzystów, jeśli rzeczywiście zostanie zadekretowane, zapewne spodoba się większości wyborców, którzy generalnie polityków nie poważają i mają za darmozjadów. Doraźnie może nawet przynieść poprawę notowań PiS. Marudzący twierdzą, że szkody zobaczymy dopiero w przyszłości, bo programowo niskie pensje jeszcze bardziej ograniczą dopływ do polityki ludzi posiadających atrakcyjne rynkowo zawody i umiejętności, wzmocnią natomiast mechanizm negatywnej selekcji, stworzą nadpodaż niekompetentnych karierowiczów, kombinatorów, oszołomów, pociotków. Nawet jeśli to prawda, w polityce centralnej, i tak zdominowanej przez partyjnych liderów i wąskie biura polityczne, niewiele to zmieni; będzie tak jak teraz, tylko bardziej. Groźniejsze mogą być skutki „planu Kaczyńskiego” w samorządach, gdzie prezydenci, burmistrzowie, wójtowie mają znaczną osobistą autonomię, odpowiedzialność i inicjatywę. Po spektakularnych obniżkach zarobków część obecnych, już sprawdzonych zarządców miast i gmin, może zniechęcić się do ponownego kandydowania, inni będą się zastanawiać, czy w ogóle opłaca im się startować w wyborach. Nie ulega wątpliwości, że dysproporcja między zarobkami a skalą podejmowanych decyzji finansowych rodzi też tzw. napięcie korupcyjne, podatność na szukanie nie zawsze uczciwych rekompensat. Zapowiedziana płacowa ustawa degradacyjna podważa w tej delikatnej sferze uprawnienia władz lokalnych, jest kolejnym dowodem postępującej centralizacji państwa.

Najważniejsze, że pokazowe ograniczenia i obniżki płac, ów wielki powrót do pokory i umiaru, w ogóle nie dotyczą istoty przywilejów, jakimi cieszy się i żywi obóz władzy. 300–400 osób

ucierpi trochę dla dobra partii, ale to nic wobec tysięcy ludzi PiS już rozlokowanych na nomenklaturowych posadach. Chodzi tu zwłaszcza o spółki Skarbu Państwa, gdzie skala kadrowych zmian po objęciu władzy przez PiS była bezprecedensowa w historii RP. Kancelaria Premiera w odpowiedzi na interpelację pos. Mirosławy Nykiel z PO potwierdziła, że zmian kadrowych dokonano na prawie wszystkich spośród 2,5 tys. stanowisk kierowniczych w tych spółkach, w niektórych kilkakrotnie (głównie wskutek nieczytelnych dla opinii publicznej rywalizacji partyjnych koterii). Jednocześnie zrezygnowano z tzw. ustawy kominowej, wprowadzając nowe, elastyczne zasady płacowe, umożliwiający zarobki od kilkudziesięciu do nawet 200–300 tys. zł miesięcznie. Obniżono też kryteria kwalifikacji przy obejmowaniu funkcji w radach nadzorczych. Według raportu FOR poza samymi zarządami w spółkach państwowych zwolniono, czyli wymieniono, ponad 11 tys. osób, w tym prawie 7 tys. ze stanowisk kierowniczych różnego szczebla. Kolejne setki stanowisk obsadzono w tzw. spółkach zależnych. Po faktycznej likwidacji służby cywilnej i konkursów kadrowych tysiące nowych ludzi objęło funkcje w administracji państwowej. Przy poprzednich zmianach władzy ruchy kadrowe były w porównaniu z obecnymi minimalne.

Krok za krokiem odtwarza się system nomenklaturowy w najczystszej postaci. Jeśli popatrzymy na Węgry, które dla PiS są ustrojowym i politycznym wzorcem, widać, do czego prowadzi zlewanie się administracji i instytucji państwa z aparatem partyjnym. Tamtejsza opozycja nazywa węgierskie państwo „mafijnym”; ale bez wątpienia mamy tam do czynienia z klientelizmem jako zasadą ustrojową. W wielu zawodach – jak piszą i mówią oponenti Fideszu – trudno jest dziś o awans i w ogóle robienie kariery bez aprobaty władzy; także przetargi na kontrakty rządowe i unijne rozstrzygane są na korzyść firm i osób jawnie związanych z rządzącą partią, lub przynajmniej życzliwych i wdzięcznych. Powstał system samoodtworzalny, popierany przez liczne, biznesowe i społeczne grupy interesów, zasilany praktycznie bez ograniczeń publicznymi i prywatnymi pieniędzmi, miażdżący dla marginalizowanej, odciętej od wpływu na państwo opozycji.

Więc uwaga: jeśli opozycja nie chce brać udziału w propagandowym spektaklu PiS, powinna właśnie teraz przedstawić pakiet regulacji narzucających transparentność płacową sektora publicznego, wiążących wysokości zarobków polityków np. ze średnią krajową; powinna żądać przywrócenia publicznych konkursów w obsadzie stanowisk w spółkach Skarbu Państwa i stanowisk w administracji państwowej, także czytelnych reguł kształtowania płac samorządowców czy przekazywania publicznych pieniędzy dla związanych z władzą fundacji, mediów, spółek. Otworzyła się wyjątkowa szansa dla politycznej i merytorycznej ofensywy ze strony opozycji. Zasada ta sama: nie grać na boisku Kaczyńskiego. I niech kota ogonem obraca samodzielnie.

Jan Koza



KOMENTARZ

Katastrofa
po katastrofie

Grzegorz Rzeczkowski

O siem lat od tamtej soboty zamach wciąż ma się dobrze, a może nawet lepiej. Jak pokazał niedawny sondaż Kantar Millward Brown dla TVN, bez mała połowa Polaków (41 proc.) nie uważa, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do katastrofy komunikacyjnej. Odsetek osób dających wiarę teoriom zamachowym – w sumie 26 proc. – w porównaniu do ubiegłego roku wzrósł (o 3 pkt tych, którzy są pewni, i o 5 pkt tych, którzy są raczej pewni). Skurczyła się zaś grupa uważająca, że to był jednak wypadek (z 65 do 59 proc.). 15 proc. nie jest w stanie powiedzieć, jaka była przyczyna.

A jednak po dwóch i pół roku rządów PiS, uruchomieniu wszystkich sił państwa, ze służbami specjalnymi i machiną propagandową włącznie, efekt nie jest jakimś oszałamiającym.

Sukces Macierewicza, głównego kaznodziei religii smoleńskiej, polega na czymś innym – na skutecznym i raczej trwałym podziale polskiego społeczeństwa, który w sprawie smoleńskiej utrzymuje się od kilku lat. „Osiągnięciem” byłego ministra obrony jest też zasianie nieufności o fundamentalnym znaczeniu, czyli do władz państwa i jego instytucji. To także zastraszenie ludzi inaczej myślących, czego smutną miarą jest to, że od siedmiu lat żadna z 19 polskich uczelni technicznych i żaden z pracujących w nich ekspertów – poza jednym emerytowanym profesorem Bohdanem Jancewiczem (POLITYKA 46/16) – praktycznie nie dali merytorycznego odporu Macierewiczowi i nie wzięli w obronę ekspertów z komisji Millera i Laska.

Byłoby to tym prostsze, że Macierewicz sam najwyraźniej nie wierzy w swoje teorie – co przyznał trzy lata temu w rozmowie z byłym szefem SKW gen. Piotrem Pytlem. Poniekąd potwierdza to ponownie teraz, ogłaszając, że jego najnowszy „raport” będzie miał charakter „techniczny”. To zresztą miara kompromitacji jego podkomisji – przez ponad dwa lata pracy i wydaniu wielu milionów złotych nie udało się wskazać ani pół dowodu na zamach. W konsekwencji w oficjalnym obiegu prawnym wciąż obowiązują ustalenia komisji Millera o błędach pilotów i kontrolerów jako głównych przyczynach katastrofy.

Prezes PiS, widząc nieporadność i amatorszczyznę podkomisji Macierewicza, już przed kilkoma miesiącami stworzył nową formułę smoleńską, głoszącą, że „być może pełnej prawdy nigdy nie poznamy”. To kolejna wersja „prawie zamachu”, wpisująca się w smoleński agnostycyzm, bliski części społeczeństwa i wygodny dla tych polityków PiS, zapewne nawet większości z nich, którzy w wybuchy w skrzydle nie wierzą, ale nie są jeszcze na tyle odważni, by mówić o komunikacyjnej katastrofie.

Na razie więc trwa upamiętnianie ofiar, z Lechem Kaczyńskim na czele – pomniki, ulice, tablice – bo to bezpieczne i niezależne od przyczyn katastrofy. A także oczekiwanie na opinię ekspertów amerykańskich i powrót wraku. Daje to PiS spokój do następnej rocznicy, już w 2019 r., kiedy to Smoleńsk zostanie na tyle wykorzystany, na ile będzie potrzebny w kampanii wyborczej do parlamentu. A i to raczej nie w postaci powrotu do zamachu, bo nowych dowodów, jak nie było, to nie będzie, ale jako powód do ścigania polityków Platformy i Donalda Tuska za „oddanie śledztwa”. Smoleńsk od ośmiu lat jest wykorzystywany instrumentalnie, w rytm politycznych kampanii PiS, ale zdaje się, że propagandowa siła rażenia tego tematu swoje apogeum ma już za sobą. Co nie znaczy, że jeszcze nie da się we znaki.

KOMENTARZ

Najwyższa
sprawiedliwość

Ewa Siedlecka

Nowa ustawa o Sądzie Najwyższym weszła w życie. Jej celem jest kadrowe przejście SN po to, by kontrolować całe orzecznictwo sądów powszechnych w Polsce. Bo wśród 10 tys. sędziów zawsze znajdują się tacy, którzy sprzeciwiają się władzy – jak osławiony już sędzia Łukasz Biliński, który ostatnio orzekł, że miesięcznice smoleńskie to nie „zgromadzenia”, tylko zamknięte imprezy za zaproszeniami, więc nie można karać za ich blokowanie. A więc władza dąży do zabezpieczenia się na końcowym etapie mielenia spraw przez młyny sprawiedliwości – w Sądzie Najwyższym. Wyższa kadra, własne kierownictwo i wyjęcie

Sądu Najwyższego spod zasady losowego przydzielania spraw – to ma zapewnić, że interesujące władzę sprawy trafią do właściwych sędziów.

Ustawa przenosi w stan spoczynku ponad jedną trzecią sędziów SN. Chyba że poproszą prezydenta, by im pozwolił orzekać jeszcze przez trzy lata. Pozostałym składa się propozycję: jeśli zrezygnują z orzekania – będą mogli, do uzyskania wieku emerytalnego (w przypadku niektórych sędziów nawet przez kilkanaście lat), dostawać uposażenie sędziego SN i nic nie robić. A potem – jak pozostali sędziowie – dostaną 75 proc. uposażenia.

Czy sędziowie SN powinni przyjąć propozycję ustąpienia w zamian za sówite dożywotnie utrzymanie? Identyczną propozycję dostali półtora roku temu „starzy” sędziowie Trybunału Konstytucyjnego. Żaden jej nie przyjął. Przyjęcie oznacza współdziałanie z partią rządzącą w przejmowaniu przez nią wymiaru sprawiedliwości. Czyli w łamaniu konstytucji.

Inaczej jeśli chodzi o sędziów, którzy osiągną obniżony wiek stanu spoczynku. Tu z kolei zwrócenie się do prezydenta o pozwolenie na dalsze orzekanie oznacza autoryzując łamanie konstytucji. Bo oddanie decyzji o prawie sędziego do dalszego orzekania w ręce przedstawiciela władzy

wykonawczej jest złamaniem zasady podziału władz i niezależności władzy sądowniczej.

Niektórzy twierdzą, że lepiej to zrobić, niż oddać miejsca w SN walkowerem. Ale czy sędziemu wypada łamać konstytucję pod hasłem, że cel uświęca środki? Czy sędziowie Sądu Najwyższego powinni dawać opinii publicznej sygnał, że łamanie konstytucji może być dobre albo złe – w zależności kto i po co ją łamie? Czym taka filozofia różniłaby się od tej głoszonej przez PiS?

To samo dotyczy zapowiedzianego niedawno w piśmie do marszałka Sejmu przez Pierwszą Prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Gersdorf zwołania przez nią posiedzenia nowej Krajowej Rady Sądownictwa. To zwołanie otworzy drogę do obsadzania stanowisk sędziowskich decyzją osób, które zostały do KRS wybrane z naruszeniem konstytucji i ustawy. I spowoduje takie same wątpliwości co ważność wyroków wydanych z udziałem dublerów w Trybunale Konstytucyjnym. Pani prezes pisze: „Odpowiedzialność za nieprawidłowości powstałe w związku z wyborem członków Krajowej Rady Sądownictwa spoczywa jednak na przedstawicielach większości parlamentarnej oraz na Panu Marszałku”.

Tak to nie działa: odpowiedzialność – moralna i prawna – będzie spoczywać także na pani prezes.



Rysy i trzaski

W PiS nie ma frakcji, są tylko koterie, a to duża różnica. Frakcja może się zbuntować, ale koteriom bunt nie służy. Pogłoski o słabnięciu Kaczyńskiego są przedwczesne.

Za czasów premierstwa Donalda Tuska co dwa miesiące któryś z tabloidów donosił: „Tusk się wściekł” z jakiegoś powodu na tego lub owego, i dziennikarze polityczni mieli o czym pisać. Od pewnego czasu karierę robi słowo „trzeszczy”: a to „trzeszczy koalicja PO-Nowoczesna”, czym tutaj nie będę się zajmował, a to PiS, na którym – to zamiennik „trzeszczenia” – pojawiają się też rysy.

W kwestii rys i trzeszczenia wydzwaniali do mnie ostatnio dziennikarze niesłuchanie podekscytowani „wojnami w PiS” lub „walkami frakcji”. Coś im tam odpowiadałem, na ogół, że nie warto się tym zajmować, ale bywało, że na odczepnego sformułowałem krótki komentarz. A oni w swoich tekstach przedstawiają mnie jako „byłego trzeciego bliźniaka” lub „byłego polityka PiS”, czego mam serdecznie dosyć. Teraz, żeby nagabywania mieć z głowy, wyłożę pokrótce mój jedynie słuszny pogląd na rysy i trzeszczenia, ale nie jako żaden „były”, tylko jako felietonista POLITYKI i komentator TVN24. Jak ktoś będzie mnie przedstawiał jako „byłego trzeciego”, to żadnego komentarza ode mnie nie uzyska.

Zacznijmy od rzeczy oczywistej, że jak jest partia, to muszą być koterie, ale niekoniecznie frakcje. Koteria to agregat znaczących polityków, którzy podejmują zbiorowe działanie w celu osiągnięcia jakichś zysków. Frakcja to coś więcej: ma własną hierarchię, związki lojalności i, przede wszystkim, nawet jeśli chodzi jej głównie o zyski, to zabiega o nie, formułując własną platformę polityczną. Narzędziem działania koterii jest intryga polityczna. Narzędziem frakcji jest wewnątrzpartyjna walka polityczna. Ponadto członkowie koterii nie dysponują żadnymi własnymi zasobami politycznymi tak wewnątrz partii, jak i poza nią. Inaczej jest z frakcją: musi ona mieć własne zasoby wewnątrz ugrupowania i poza nim, choćby w postaci grup wpływu i interesów, z których dążeniami cała partia się liczy.

Gołym okiem widać, że w PiS są koterie, a frakcji nie ma na lekarstwo. Ze świecą by szukać alternatywnej „platformy politycznej”. Kiedy w jakiejś sprawie, np. sporu z Komisją Europejską, czynnik kierowniczy zmienia zdanie, to karnie zmienia zdanie cała partia. Jedni to robią z entuzjazmem, a inni nie klaszczą – i to jest jedyna różnica.

Jeśli chodzi o zasoby wewnątrzpartyjne, to wszystkie one są pod kontrolą ośrodka kierowniczego, natomiast rola zasobów zewnętrznych jest mniej niż znikoma. Podajmy parę przykładów.

Do czasu sławetnej i ciągnącej się niemiłosiernie rekonstrukcji premiera i rządu różni znawcy w pisologii uczeni prorokowali, że dla prezesa Kaczyńskiego zdjęcie Beaty Szydło z zajmowanego stanowiska będzie trudne, bo jako niewiasta z tapirem na głowie, mopem w rękę i broszką w klapie jest wielbiona przez „lud pisowski”. I jeśli zostanie pogoniona, to tenże lud się obruszy i będzie niedobrze. I co? Była premierka, nie ma premierki. Podobnie było z byłym ministrem Macierewiczem. O nim też stukano w klawiaturę, że trudno go będzie ruszyć, bo jest idolem „ludu smoleńskiego”. I co? Z ministra wojny został jedynie podstarzały ministrant.

Wydaje mi się, że z ukochaniem przez lud w PiS jest trochę podobnie jak w Cesarstwie Rzymskim. Cesarz Tytus Flawiusz był

– wedle Swetoniusza – uznawany przez lud rzymski za „radość i ukochanie rodzaju ludzkiego”, panował jednak krótko – nieco ponad dwa lata. Zszedł z tego świata nie bez pomocy, jak głosiła stugębna plotka, swego brata i następcy Domicjana. Tacyt, najwybitniejszy rzymski historyk, skomentował jego przedwczesny zgon cierpko: „krótkie i złowróżbne są ludu rzymskiego kochania”.

Podobnie jest z dywagacjami, że tego lub innego polityka trudno będzie z eksponowanego stanowiska ruszyć, bo ma ściśle relacje z o. Tadeuszem Rydzykiem i tenże go „popiera”. Wspomniany minister Macierewicz miał swój stały wideofelieton w Telewizji Trwam, a były już minister środowiska Jan Szyszko z Radia Maryja nie wychodził. I co? Był człowiek, nie ma człowieka. Rozwodzący się nad wpływami Radia Maryja w PiS jakby nie zauważali, że ojciec dyrektor jest wybitnym specjalistą od ewangelii specyficznie współczesnej: co dyrektorskie należy oddać dyrektorowi, a co prezesowskie prezesowi. Póki dyrektorowi oddaje się to, co dyrektorskie, czyli zapewnia stałe dofinansowanie z kasy publicznej dla „dzieł Bożych” prowadzonych przez niego, to prezesowskie jest prezesowskie – ten minister czy inny, jakie to ma znaczenie?

To wszystko nie oznacza, że dla prezesa PiS premier, ministrowie, marszałkowie i wicemarszałkowie to pionki na szachownicy, które można zrzucić lub przesuwać wedle kaprysu i do woli. Nie, obowiązuje mądrość etapu, wycucie miejsca i czasu oraz minimum konsekwencji. Nagabujący mnie podekscytowani dziennikarze dzielili się ze mną wiedzą, że „ich źródła na Nowogrodzkiej” donoszą, że prezes jest rozczarowany premierem Morawieckim, wyrok na niego został wydany, a egzekucja to kwestia dwóch, trzech miesięcy. Wzruszałem na to przez telefon ramionami i odmawiałem rozmowy, bo niezależnie od tego, co pan prezes sądzi o panu premierze, to jego szybka wymiana oznaczałaby zdezawutowanie przez prezesa samego siebie we własnych oczach: jeśli jest takim genialnym strategiem i taktikiem, to dlaczego wcisnął na stanowisko premiera kogoś, po kim pokazało się, że się nie nadaje?

Oprócz tego czynnik decydujący – we własnym interesie – jest związany zasadami pluralizmu i równowagi sił. Nie można dopuścić do nadmiernego pogwałcenia jednej koterii przez drugą, która mogłaby się zbyt umocnić i przez to ograniczać centralny ośrodek dyspozycji politycznej.

Ponieważ PiS ostatnio rzeczywiście ma kłopoty, a przecieki od „ważnych polityków PiS” dotyczące tego, kto z kim drze koty, się nasilają, pozwolę sobie na sformułowanie dość przewrotnej hipotezy: o intensyfikacji przecieków zdecydowano na najwyższym szczeblu w centrali na Nowogrodzkiej. Nieuniknione w każdej partii homeryckie boje między koteriami nie przekraczają bezpiecznego politycznie poziomu, nikt nie sięga po sztandar buntu przeciw prezesowi ani nie formułuje alternatywnej linii politycznej. Czemu więc dziennikarze nie mają się zajmować tym, co nieistotne i nie interesuje szerszej opinii publicznej: kto komu wsadził szpilę, kto kogo podgryzł i kto walczy o sukcesy po panu prezesie, który, na razie, nawet jeśli czasem kwęknie, to nie podupada.

Święta ochrona

Coroczny program dotacyjny „Ochrona zabytków” Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego mogłoby przemianować na „Ochrona kościołów”.

Oficjalnie mamy w kraju blisko 71 tys. zabytków. Od pałaców i zamków po chałupy, młyny i karczmy. Ale to obiektom sakralnym tradycyjnie dostawał się dotychczas największy kawał tortu w systemie resortowego wsparcia. W latach 2008–16 przekazano na poprawę ich kondycji łącznie 400 mln zł, czyli 63 proc. całości kwot przeznaczonych na ratowanie zabytków. Dużo. Ale okazuje się, że można jeszcze więcej. W ogłoszonym przez resort kultury najnowszym rozdziale funduszy instytucje Kościoła katolickiego stanowią aż 88 proc. wszystkich beneficjentów (346 na 394 pozytywnie rozpatrzone wnioski), a jeśli dodać do tego obiekty historycznie związane z religią, to ów wskaźnik wzrośnie do 91 proc. Aż 87,5 proc. z sumy dofinansowań popłynęło w tym roku na konto przeróżnych instytucji kościelnych, od parafii przez opactwa, klasztory, diecezje, domy zakonne, zgromadzenia sióstr, po kurie.

Wśród tych, którzy o dotację zabiegali, ale tym razem nie dostaną nawet złotówki, są m.in. Frombork (na konserwację murów obronnych), Krynica-Zdrój (na słynną willę Patria) czy Dalków (na odbudowę zawalanej wieży dachowej w wieży mieszkalnej z XV w.). Nie znalazły uznania wnioski o dofinansowanie renowacji zamków w Niemodlinie (XIV w.), Janowcu (XVI w.), Nowym Jasińcu (XIII w.), Otmuchowie (XIII w.) czy w Brodnicy. Z kolei na liście docenionych odnaleźć można kilka miejsc powszechnie znanych, choć wydawałoby się, że pozostających w niezłej kondycji, jak choćby klasztor ojców paulinów na Jasnej Górze (uzbierał 97 pkt na 100 możliwych w ocenie ekspertów – więcej miał tylko kościół Mariacki w Krakowie). Największym świeckim beneficjentem dotacji okazał się bardzo efektywny, ale z artystycznego punktu widzenia umiarkowanie znaczący, XIX-wieczny neogotycki pałac w Kamieńcu Żąbkowickim, a także dom solny w Lubaniu i most w Henrykowie (wszyscy po 1 mln zł).

Warto przy tym pamiętać, że wśród obiektów mających oficjalny status zabytków nieruchomości (wyłączywszy zabytki archeologiczne), udział obiektów sakralnych wynosi 18 proc., podczas gdy największą grupę stanowią obiekty mieszkalne (kamienice, wille, chałupy, miejskie dwory i pałace) – blisko 28 proc. Tymczasem w tegorocznym rozdaniu te ostatnie stanowią zaledwie 1,5 proc. beneficjentów ministerialnych dotacji.

Obraz robi się jeszcze ciekawszy, jeśli pod uwagę weźmiemy dodatkowo kondycję historycznych miejsc. Ich szczegółową analizę przynosi niedawno wydany, niezwykle rzetelny i kompleksowy, „Raport o stanie zachowania zabytków nieruchomości w Polsce”, przygotowany przez Narodowy Instytut Dziedzictwa. Wynika z niego, że zabytki sakralne należą do grupy... najlepiej utrzymanych. Ustalono, że stan 85 proc. z nich ocenić można jako dobry i bardzo dobry, podczas gdy tylko 2 proc. – jako zły. Dla porównania, w złym stanie jest 9,4 proc. rezydencji typu dwory i pałace (w dobrym i bardzo dobrym – 38 proc.), 10,4 proc. zabytków folwarcznych i aż 11 proc. – zabytków przemysłowych. Do kategorii szczególnie zagrożonych zaliczono w skali kraju 66 zabytkowych świątyń katolickich, 62 zamki, 299 obiektów przemysłowych i aż 773 dwory i pałace. Warto też pamiętać, że poza pieniędzmi z publicznej kasy świątynie kościelne korzystają ze wsparcia wiernych. Nie ulega wątpliwości, że wiele budynków sakralnych w Polsce należy do kategorii zabytków najwyższej klasy. Ale też gotowość państwa do wspierania ich finansowo, kosztem innych grup zabytków, wydaje się szczególnie gorliwa.

PIOTR SARZYŃSKI

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów w cenie

PORTUGALIA 7 dni



• Hotel: 4* (6 nocy)

• Wyżywienie: 2 posiłki dziennie

Perty Portugalii

od **4498zł**

Wyloty 15/10 i 26/10 2018

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Lizbony.

Przejazd do Cascais. **Dzień 2.** Zwiedzanie Sintry. Cabo da Roca.

Dzień 3. Zwiedzanie Lizbony. **Dzień 4.** Dzień wolny. **Dzień 5.** Zwiedzanie Fatimy. Batalha. Nazaré. Óbidos. **Dzień 6.** Zwiedzanie Azeitão. Sesimbra. Arrabida. Setúbal. **Dzień 7.** Wylot z Lizbony do Warszawy *Więcej na www.albatros.pl*

WIETNAM 13 dni



• Hotel: 3*/4* (10 nocy)

• Wyżywienie: 10 śniadań, 7 obiadów, 6 kolacji

Zadziwiający Wietnam

od **8998zł**

Wyloty 13/11 2018, 22/01 i 05/02 2019

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Hanoi. **Dzień 2.**

Hanoi. Wycieczka riksami przez zabytkową część miasta. Jezioro Hoan Kiem. **Dzień 3.** Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda na Jednej Kolumnie, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. **Dzień 4.** Hanoi – Zatoka Ha Long. Rejs. **Dzień 5.** Ha Long – Hanoi. Podróż samolotem do Da Nang, a następnie autokarem do Hoi An. **Dzień 6.** Hoi An. Wycieczka rowerowa. Wypa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta Hoi An. Rejs o zachodzie słońca. **Dzień 7.** Czas wolny w Hoi An.

Dzień 8. Hoi An – Huế. Przetęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, Pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. **Dzień 9.** Huế. Wycieczka riksami do zabytkowej części miasta, cytadela. Przelot do miasta Ho Chi Minh.

Dzień 10. Ho Chi Minh – Delta rzeki Mekong. **Dzień 11.** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dzień 12.** Poranny spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh do Warszawy.

Dzień 13. Przylot do Warszawy. *Więcej na www.albatros.pl*

www.albatros.pl

Rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa ul. Marszałkowska 74

Kod reklamy: PL13





© PAPPEA

3:0 dla Orbána

Viktor Orbán poprowadził swoją partię do trzeciego z rzędu triumfu wyborczego. Z konstytucyjną większością w parlamencie.

Stało się, co się miało stać. Fidesz, razem z koalicyjną Chrześcijańską Demokratyczną Partią Ludową (KDNP), zdobył blisko 49 proc. głosów, co przełożyło się na 134 mandaty w 199-osobowym parlamencie, co daje większość dwóch trzecich (wyniki po przeliczeniu 96 proc. głosów). W okręgach jednomandatowych Fidesz przegrał w czterech, w tym w Budapeszcie. Nacjonalistyczny Jobbik uzyskał 25 mandatów. Dużo mówi się o nieporadności opozycji – i słusznie, bo zamiast jednoczyć siły, każdy wystawiał swojego kandydata. Pretendenci do zajęcia miejsca Orbána nie wyciągnęli lekcji z wyborów lokalnych w Hódmezővásárhely, gdzie w lutym kandydat Jobbiku na burmistrza z poparciem pozostałych ugrupowań pokonał faworyta z Fideszu. Jednak nieudolność opozycji to jedno. Drugie – brak równych reguł. Do walki z przeciwnikami władza zaprzęgała media i służby. OBWE po raz kolejny (po tych z 2014 r.) oceniło wybory jako wolne, ale niesprawiedliwe. To jakaś pociecha, ale dosyć skromna.

Orbán nie ukrywa, że jego władza będzie coraz bardziej represyjna. Wybory potwierdziły, że metoda wskazywania wrogów narodu, aby ukryć korupcję czy niejasne deale z Rosją, okazała się skuteczna. Miesiąc temu premier zapowiedział, że po wyborach będzie domagał się „politycznego, moralnego i prawnego zadośćuczynienia” wobec przeciwników. Jego legitymacją będzie rekordowo wysoka, ponad 70-procentowa frekwencja. Nie znaczy to, że Węgrzy, którzy nie głosowali na Fidesz, staną z założonymi rękami. W mijającej kadencji społeczeństwo obywatelskie pokazało moc, unieważniając dwa flagowe projekty Orbána: referendum antymigracyjne i kandydaturę Budapesztu na gospodarza igrzysk olimpijskich w 2024 r. Władzę zaskoczyła też skala kontestacji przeciwko próbie zamknięcia Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego. Kolejne ofensywy spotkają się z równie silną, nieprzewidywalną reakcją.

Chiński Super Głos

Nowa potężna instytucja niewątpliwie nawiązuje nazwą do Głosu Ameryki, powstałej podczas II wojny światowej amerykańskiej tuby radiowej na cały świat. Z połączenia centralnej chińskiej telewizji CCTV, centralnego radia oraz centralnego radia dla zagranicy CRI powstaje jeszcze bardziej centralny Głos Chin, Zhong Guo Zhisheng, bodaj największa dziś machina propagandowa świata. Cele, nakreślone przez samego przewodniczącego Xi, są dwa: jeszcze bardziej ujednoczyć przekaz na kraj, kontrolowany przez partię, a przede wszystkim wzmocnić obecność za granicą, stosownie do rosnących planów i ambicji

międzynarodowych Państwa Środka. Jak to ujął Xi: „Nasze media oraz pracujący tam dziennikarze powinni mieć na nazwisko Partia”. CCTV ma obecnie 70 biur za granicą, a CRI nadaje w ponad 60 językach. Do tej sieci *soft power* mają dojść działania oficjalnej agencji Xinhua, która ma dziś 168 zagranicznych biur, rozmaite mutacje „China Daily” oraz sieć 500 Instytutów Konfucjusza, propagujących język i kulturę Chin, a przy okazji co się da. Rolę społecznych ambasadorów ma też pełnić armia młodych Chińczyków studiujących za granicą.

Pierwotwór, Voice of America, systematycznie ogranicza aktywność, o działaniach Głosu Chin jeszcze niejednokrotnie usłyszymy.

Bruksela manewruje

Drabne ustępstwa w sporze o praworządność, które PiS zaproponował w marcu, nie mogły przekonać Komisji Europejskiej, że polskie sprawy już zaczynają zmierzać w lepszym kierunku. Pomimo to Bruksela jest gotowa do nowej negocjacyjnej gry z Warszawą. Ta do niedawna odmawiała Komisji prawa do „mieszania się” w polskie sądy. A premier Mateusz Morawiecki, „w duchu dialogu” tylko przekonywał, zwłaszcza w swej białej księdze, do szlachetnych pobudek PiS i rychłych pożytków ze zmian w sądownictwie. Teraz Polska robi małe kroczki wstecz – w sporej części pozorowany, ale otwarcie deklarując, że w odpowiedzi na zastrzeżenia Brukseli. Tym samym przestaje demonizować Komisję, w tym jej wiceszefa Fransa Timmermansa. I stąd jego poniedziałkowa wizyta w Warszawie.

Nie jest to przełom i potwierdzenie, że „Bruksela przyjmuje argumenty Warszawy”, że się bezradnie wycofuje pod naciskiem niektórych stolic i że już „nie ma zamiaru umierać za Warszawę”. Fakt, UE nie ma twardych narzędzi do pilnowania praworządności w krajach członkowskich. Do nałożenia sankcji trzeba jedności, a nawet gdyby nie było obietnicy weta ze strony Viktora Orbána, to – przynajmniej obecnie – takiej sankcyjnej eskalacji nie chciałoby także sporo innych krajów Unii. W rezultacie Brukseli pozostają tylko próby zawstydzania bądź groźba napiętnowania Polski przez unijnych ministrów w Radzie UE deklaracją o „wyraźnym ryzyku poważnego naruszenia praworządności przez Rzeczpospolitą Polską” w ramach prewencyjnej części dyscyplinującego artykułu 7. Traktatu o UE. Powiązanie unijnych funduszy z praworządnością może wejść w życie dopiero od 2021 r.

Timmermans musi się zatem nieźle głowić, jak podtrzymać presję na Polskę (i strzec wiarygodności Komisji jako „strażniczki traktatów”), a zarazem uniknąć zbyt szybkiego zużycia swego słabego arsenału. I w Komisji, i w Radzie UE nikt nie liczy, że Polska w bliskiej przyszłości spełni wszystkie zalecenia Brukseli. Na razie wcale wyglądają szanse na wycofanie się nawet z najgrubszych „czerwonych linii” – skrócenia kadencji I wiceprezes Sądu Najwyższego, emerytalnej czystki w SN, skargi nadzwyczajnej. Ale sam proces „poszukiwania kompromisu” z Warszawą, czym zajmuje się teraz Timmermans, to sposób, by kwestię zagrożonej polskiej praworządności na długo utrzymać w porządku prac Brukseli. A jednocześnie zaopiecznić otwartemu podważaniu przez Polskę roli Komisji w ustroju UE, czym był sprzeciw Warszawy wobec rozmów o nawet kosmetycznych ustępstwach.

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Nerwowo w Madrycie

Na razie nie będzie ekstradycji z Niemiec do Hiszpanii byłego szefa autonomii katalońskiej **Carlesa Puigdemonta**. Co gorsza – dla rządzącej prawicy premiera Rajoya – tygodnik „Der Spiegel” podaje, że Niemcy chcą, aby unijna Bruksela mediowała między rządem hiszpańskim a katalońskimi niepodległościowcami. Oznaczałoby to fiasko polityki Madrytu, który traktuje sprawę Katalonii jako wewnętrzną. Puigdemont został zatrzymany w Niemczech pod koniec marca na mocy europejskiego nakazu aresztowania wystawionego przez władze hiszpańskie. Kataloński polityk, odkąd opuścił kraj po zawieszeniu autonomii, jeździ



© REUTERS/FORUM

po Europie, tłumacząc racje niepodległościowców. Madryt widzi w nim buntownika łamiącego konstytucję i defraudanta funduszy publicznych. Sąd w kraju związkowym Schleswig-Holstein oddalił żądanie ekstradycji z powodu politycznego („bunt”), bada zarzut kryminalny o defraudację. Niemiecka minister sprawiedliwości Katarina Barley (SPD) uznała decyzję za słuszną. Po zwolnieniu z aresztu za kaucją 75 tys. euro Puigdemont zatrzymał się w Berlinie. Pozdrowił dziwięciorko uwięzionych w Hiszpanii katalońskich niepodległościowców. Wezwał do wypuszczenia z aresztu Jordiego Sancheza, kandydata na nowego premiera Katalonii, o którego upomniała się ostatnio Komisja Praw Człowieka ONZ. Madryt zapowiada, że złoży apelację od werdyktu w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości.

KOMENTARZ

Irlandzka lekcja wielkanocna



Adam Szostkiewicz

Mija dwadzieścia lat od porozumienia, któremu nie dawano większych szans. W Wielki Piątek 1998 r. osiągnięto polityczny kompromis kończący długi i krwawy konflikt w Irlandii Północnej. Mało kto wierzył, że utrzyma się dłużej niż kilka miesięcy. Ale utrzymał się i dał Zielonej Wyspie dwie dekady pokoju i rozwoju. Dziś Europa staje przed wyzwaniem wymagającym podobnej determinacji. Takiej, jaką wykazali ówcześni liderzy Republiki Irlandii i Wielkiej Brytanii, Bernie Ahern i Tony Blair, amerykański senator George Mitchell, który z poparciem prezydenta Billa Clintona moderował negocjacje, a także reprezentanci głęboko zwaśnionych obozów politycznych: republikańskich narodowców i probrytyjskich lojalistów, działacze organizacji obywatelskich, w tym ruchu kobiecego. Otaczało ich złorzeczenie ekstremistów po obu stronach, że to zdrańda i hańba. Wytykano amerykański patronat jako niedopuszczalną ingerencję w suwerenność. Wzywano do odrzucenia porozumienia i bojkotu referendum w jego sprawie. Ale obywatela wybrali kompromis zamiast radykalizmu. Chcieli żyć bez strachu.

Konflikt w Irlandii Północnej miał wymiar religijny: lojaliści byli często protestantami, narodowcy republikanie – katolikami. Gdy na konflikt polityczny nakładają się emocje narodowe i religijne, zaczyna być groźnie. Pojawia się pokusa wykluczenia, demolująca spójność społeczną. W Irlandii była bardzo silna: niektórzy politycy obu stron mieli za plecami uzbrojone po zęby paramilitarne bojówki i milicje. A jednak irlandzki koncyliacyjny Wielki Piątek pokazał, że jeśli z procesu politycznego nie wyklucza się żadnej znaczącej społecznie siły, jest szansa na funkcjonalny kompromis. Co przeważało? Zapewne szczerza wola szefów rządów, liderów ośmiu partii politycznych i działaczy społecznych, aby przerwać wyniszczający wszystkich konflikt wewnętrzny. Negocjatorom udało się nie podeptać aspiracji i nadziei obu stron. W tym przekonać społeczeństwo, że likwidacja ufortyfikowanej wówczas granicy między Republiką a Królestwem nie zagraża nikomu po obu jej stronach, a może być potężnym bodźcem ekonomicznym i elementem integracji obu społeczności.

Ale wybuchł brexit i sprawa granicy wróciła na wokandę. Paradoksalnie, Zielona Wyspa dziś boi się przywrócenia „twardej” granicy, a nie jej zniesienia. Mieszkańcy obu części wyspy boją się powrotu złych emocji. Politycy w Dublinie, Belfaście i Londynie stają więc znów przed testem dojrzałości i determinacji. A wraz z nimi ta Europa, która nie wyrzekła się jeszcze idei kompromisu jako celu sensownej polityki wewnętrznej i międzynarodowej.

O Porozumieniu Wielkopiątkowym czytaj na s. 56.

Entuzjazm dla Ahmeda

Od 2 kwietnia Etiopia ma najmłodszego przywódcę w Afryce, choć większość jego rodaków zwraca przede wszystkim uwagę na to, że 41-letni **Abiy Ahmed** jest pierwszym premierem wyznającym islam oraz pierwszym pochodzącym z ludu Oromo. Mimo że do tej grupy etnicznej należą co trzeci mieszkańiec kraju, to dzięki sprytnym rozgrywkom politycznym cała władza spoczywała dotąd w rękach reprezentantów mniejszości, którzy doprowadzili Etiopię do rozkwitu gospodarczego, ale kosztem praw człowieka, między innymi przymusowych wysiedleń tysięcy Oromo. Dlatego od trzech lat w zamieszkiwanych przez nich regionach dochodzi do gwałtownych manifestacji, władze dwukrotnie wprowadzały już stan wyjątkowy, a w starciach z siłami mundurowymi zginęło kilkaset osób.

Wybór Ahmeda na nowego premiera, po niespodziewanej dymisji jego poprzednika, ma uspokoić te nastroje i chwilowo faktycznie w Etiopii panuje entuzjazm dla nowego przywódcy. Ten może jednak szybko opaść: na liberalizację jednopartyjnego systemu politycznego, czego spodziewają się po polityku jego zwolennicy, będzie się musiała jeszcze zgodzić najpotężniejsza w Afryce armia, a na jej czele wciąż stoją ci sami ludzie, którzy siłą dusili protesty Oromo.



© GETTY IMAGES

Gra w dziada

Populistyczna licytacja na skromność i cięcie przywilejów władzy służy dziś interesom PiS. Kanalizuje skandal z nagrodami, odwracając uwagę od tego, na czym naprawdę polega „system Kaczyńskiego”.

RAFAŁ KALUKIN

Tym razem Jarosław Kaczyński nie na żarty przestraszył się suwerena. Sięgnął bowiem po rozwiązania ryzykowne. Zapowiedź obniżenia pensji posłom i samorządowcom oraz brutalne wymuszenie na ministrach zwrócenia w części wydanych już nagród spadło na partię rządzącą jak grom z jasnego nieba. Kiepsko, jak słychać, wpływając na morale w PiS.

Na spalonym znalazła się Beata Szydło z jej donośnym „nam się należało”, które przyklei się teraz do niej na długie lata. Przy okazji prezes wystawił do wiatru braci Karnowskich, suponując, że ich portal wymyślił sobie słowa o „pokazywaniu pazurków”. Dość więc narobiło się wewnętrznych urazów, aby mogła je zneutralizować satysfakcja, że zaciśnie pasa również opozycja.

Sam Kaczyński wyraźnie dał zresztą do zrozumienia, że też nie czuje się komfortowo. Akurat ten rodzaj populizmu – skrojony pod gusta czytelników tabloidów, choć podszyty liberalną niechęcią do państwa jako wielkiego marnotrawcy – prezes PiS uważał dotąd za szkodliwy. Co wyraził sentencją „Vox populi, vox Dei”, która zabrzmiała jak usprawiedliwienie.

Lecz prezes bynajmniej nie działał po omacku, a jego decyzje z punktu widzenia interesów PiS były racjonalne.

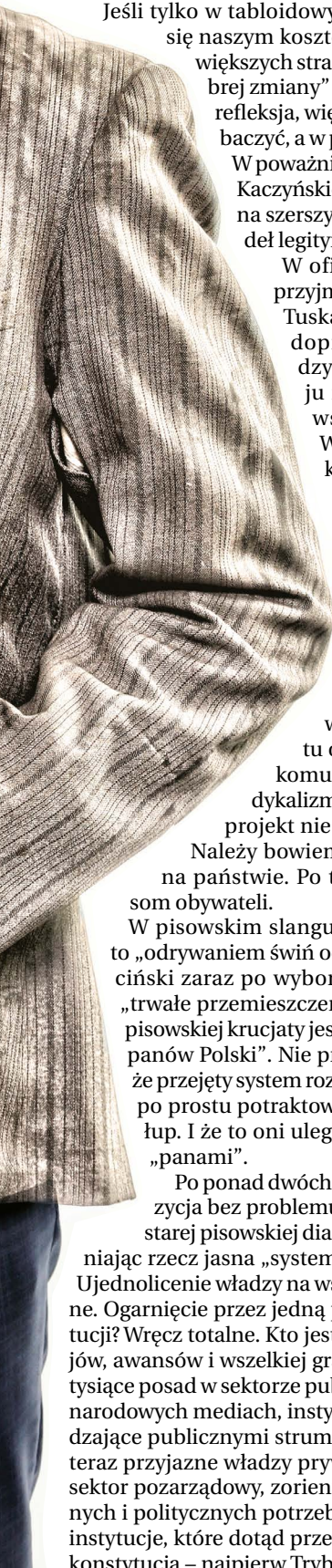
Powtórka z systemu

Czy publiczność przyjmie opowieść o sprawiedliwym carze i pazernych bojarach? Sprzyja jej wizerunek Kaczyńskiego jako żoliborskiego ascety, który nie przywiązuje wagi do materialnych dóbr, nosi się niedbale i żyje wyłącznie polityką. Ten rys osobowości Kaczyńskiego tylko do pewnego stopnia jest jednak prawdziwy, zarazem prezes bywa też cwana gąpą.

Nietrudno odgrywać abnegata, faktycznie żyjąc na koszt partii. To ona Kaczyńskiego żywi, ubiera, przewozi i ochrania. Żaden inny przywódca partyjny w Polsce nie ma takiego luksusu. Jednak w czasach przedpisowskich Kaczyński nie żył przecież tylko powietrzem i polityką. Sam kiedyś opowiadał, jak sobie wychodził u Wałęsy posadę redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” – licząc nie tylko na polityczne profity, lecz i apanaże. Bo, jak przyznawał, z niewysokiej w tamtym czasie senatorskiej diety trudno mu było związać koniec z końcem.

© LESZEK ZYCH





Wizerunek skromnego faceta może zresztą nie wystarczyć do zamortyzowania politycznych skutków afery z nagrodami. Decydujące będzie to, w jakim kontekście wyborcy ją osadzą.

Jeśli tylko w tabloidowym i powierzchownym („nachapali się naszym kosztem”), długofalowo PiS nie poniesie większych strat. Ot, niektórzy funkcjonariusze „dobrej zmiany” trochę przesadzili. Nastąpiła jednak refleksja, więc można im jeszcze warunkowo wybaczyć, a w przyszłości uważniej patrzeć na ręce. W poważniejsze tarapaty wpadnie jednak partia Kaczyńskiego, jeśli Polacy umieścą tę historię na szerszym tle, odnosząc ją do głównych źródeł legitymizacji tej ekipy.

W oficjalnym programie PiS Kaczyński przyjmował za punkt odniesienia „system Tuska”. Pisał: „Dynamika tego systemu doprowadziła do ujednoczenia władzy na wszystkich poziomach ustroju i do ogarnięcia przez jedną partię wszystkich kluczowych instytucji. W ten sposób partia ta stworzyła wielki mechanizm rozdawniczy i sama stała się jedynym dysponentem przywilejów, awansów oraz wszelkiej gratyfikacji”.

Tę diagnozę prezes oczywiście umieścił w znacznie szerszej opowieści o nomenklaturowym charakterze polskiej transformacji. „System Tuska” miał stanowić zwieńczenie procesów zapoczątkowanych w 1989 r. Platforma stanowiła tu ostateczną emanację formacji postkomunistycznej. Co miało uzasadniać radykalizm oferty politycznej PiS; alternatywny projekt nie mógł być przecież jedynie korektą.

Należy bowiem trwale odciąć stare elity żerujące na państwie. Po to, aby podporządkować je interesom obywateli.

W pisowskim slangu uliczno-internetowym nazywano to „odrywaniem świń od koryta”. Subtelniejszy Piotr Skwieciński zaraz po wyborczym zwycięstwie PiS zapowiadał „trwałe przemieszczenie konfitur”. Z konkluzją, że celem pisowskiej krucjaty jest to, aby już nie było „przyrodzonych panów Polski”. Nie przyszło wtedy publiczście do głowy, że przejęty system rozdawnictwa przywilejów może zostać po prostu potraktowany przez zwycięzców jak wojenny łup. I że to oni ulegną teraz pokusie stania się nowymi „panami”.

Po ponad dwóch latach rządów „dobrej zmiany” opozycja bez problemu mogłaby wpisywać całe fragmenty starej pisowskiej diagnozy do swojego programu. Zamieniając rzecz jasna „system Tuska” na „system Kaczyńskiego”. Ujednoczenie władzy na wszystkich poziomach? Teraz absolutne. Ogarnięcie przez jedną partię wszystkich kluczowych instytucji? Wręcz totalne. Kto jest partyjnym dysponentem przywilejów, awansów i wszelkiej gratyfikacji? To przecież PiS rozdające tysiące posad w sektorze publicznym, spółkach Skarbu Państwa, narodowych mediach, instytucjach kultury i dyplomacji. Zarządzające publicznymi strumieniami finansowymi, które zasilają teraz przyjazne władzy prywatne media oraz fundują odrębny sektor pozarządowy, zorientowany na zaspokajanie ideologicznych i politycznych potrzeb rządzących. Wreszcie kolonizujące instytucje, które dotąd przed zachłannością polityków chroniła konstytucja – najpierw Trybunał Konstytucyjny, a teraz Krajową

Radę Sądownictwa i Sąd Najwyższy. Tak szczególnego systemu, na taką skalę uzależniającego osobiste kariery funkcjonariuszy i klientów państwa od posłuszeństwa partii rządzącej, nie było ani za Millera, ani za Tuska. Kaczyński tak wyśrubował normy, że dalej są już tylko wzorce peerelowskie.

Sute nagrody dla członków rządu Beaty Szydło są więc systemowo nieistotnym, choć malowniczym ornamentem. Pokazującym, że nowi „panowie” do tego stopnia rozmakowali się w konfiturach, iż stracili już nie tylko umiar, ale i politycznego nosa. W interesie PiS jest więc zamknięcie afery we względnie bezpiecznej emocji, której ulega teraz wielu Polaków przeliczających ekstrapieniądze Błaszczaka na własne potrzeby. Bo taka emocja wcześniej czy później się wyczerpie albo zostanie „przykryta” innymi wydarzeniami. Chwilowe oburzenie nie otworzy im oczu na patologiczną naturę całego systemu. Którego rzecz jasna zadekretowana przez Kaczyńskiego skromność władzy w najmniejszym stopniu nie odmieni.

I o to właśnie toczy się obecna gra. Czego epatująca „konwojem wstydu” Platforma Obywatelska najwyraźniej nie zrozumiała. Eksploatuje bowiem właśnie te płytkie emocje, którymi Kaczyński stara się zasłonić sedno sprawy.

Dyskretny urok skromności

W pewnym sensie Platforma odtwarza zresztą swój źródłowy kod z okresu założycielskiego. Zrodziła się przecież z wygłoszonej przez Tuska pod koniec lat 90. tezy o nowej „klasie próżniaczej”. Przyszły szef PO pożyczyl sobie to pojęcie z klasycznej książki amerykańskiego ekonomisty i socjologa Thomasa Veblena, który piętnował XIX-wieczną kapitalistyczną klasę wyższą – łupiącą i demoralizującą klasy niższe, ostentacyjnie marnotrawiącą zasoby, hamującą rozwój. Sto lat później te same cechy Tusk przypisywał klasie politycznej III RP. Proponując radykalne jej przetrzebieenie oraz skasowanie większości przywilejów.

Ówczesna diagnoza Tuska, choć populistyczna, wyrastała jeszcze z ideowo utwardzonego liberalnego gruntu. Uderzenie w klasę próżniaczą miało być elementem wielkiego wietrzenia państwa, odchudzania jego ociężałych instytucji, minimalizowania wpływu na gospodarkę i życie społeczne. Po klęsce swej pierwszej partii, KLD, Tusk uznał, że warunkiem politycznego sukcesu jest nie ideowy pryncypializm, lecz schlebający emocjom język. Tyle że założycielskiej dynamiki powstałej w 2001 r. Platformy na długo nie starczyło. Aby utrzymać projekt przy życiu, Tusk w kolejnych latach nasycił go nowymi odcieniami.

Po aferze Rywina popularność zyskało hasło sanacji moralnej. Platforma znów dużo mówiła o skromności, choć wysunięty wtedy na pierwszy plan Jan Rokita wpisywał ją w nowy kontekst. Już nie liberalny, jak wcześniej Tusk, lecz symboliczny. Zapowiadał więc wojnę z „kryterium darmowej komórki”, w którym widział miernik prestiżu osób sprawujących publiczne stanowiska. Kampanią wymierzoną w przywileje władzy Rokita pragnął legitymizować PO w roli moralnej odnowicielki życia publicznego.

Ale Platforma przegrała ówczesne starcie z PiS. Polakom bardziej spodobala się znacznie spójniejsza oferta braci Kaczyńskich, którzy do postulatów „taniego państwa” i cięcia przywilejów władzy odnosili się sceptycznie. Zwłaszcza Lech Kaczyński otwarcie ją odrzucał, nazywając „przedsięwzięciem socjotechnicznym”. Bo próżnię po odcięciu pieniędzy publicznych, jak twierdził, musiałby w polityce wypełnić kapitał prywatny. A to prowadziłoby do pogłębienia patologii III RP.

Opowieść o skromności władzy i cięciu przywilejów nigdy więc nie dostarczyła liderom PO pełnej politycznej satysfakcji. Zawsze okazywała się dopalaczem krótkotrwałym i zawodnym. Tyle że wystarczyło Tuszkowi intuicji, aby w czasach sprawowania władzy zachować osobisty umiar w konsumpcji konfitur. Jako premier konsekwentnie trzymał w ryzach uposażenia polityków ►